

Mnie się upiekło¹

Powstanie zawsze na mnie czyha
(Miron Białoszewski, Rozkurz)

Myśląc o rozmowie z wami, zastanawiałam się nad tym, jak niektóre zdarzenia zostawiają w człowieku ślady na całe życie. Przychodzą nieraz sny, które nie wiadomo do czego przypiąć i czasem jakiś element wspomnienia, jakieś déjà vu sprawiają, że potem trzeba przez tydzień łykać tabletki uspokajające. To obciąża do końca. I tak będę miała, prawda? Teraz jestem już na etapie, kiedy częściej myśli się o tej drugiej stronie. Patrzę na ten fakt zupełnie spokojnie, bez hysterii. Nie wiem, czy jeszcze raz uda mi się u Pana Boga wytargować życie. Bo raz mi się udało



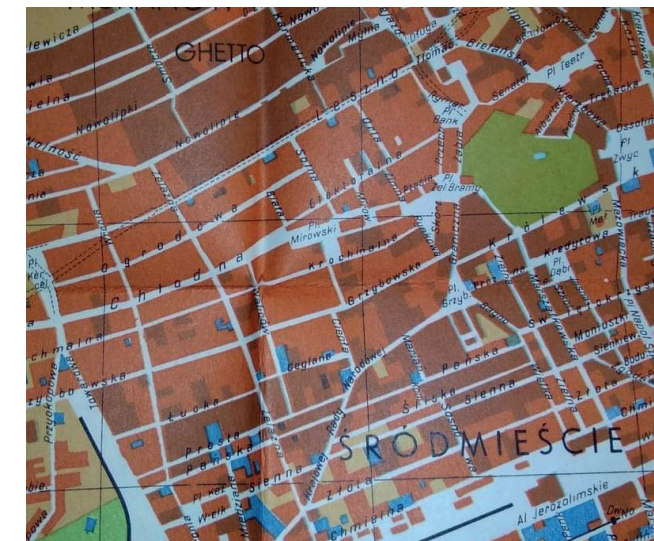
Pani Ania

Fot. Magdalena Horodecka



Urząd Dzielnicy Wola

Fot. Paulina Sokólska



Mapa ulicy Żelaznej i okolic

Fot. Paulina Sokólska

Gdańsk, 2021 rok. Na trzecim piętrze Wydziału Historycznego, w gabinecie 4.23 dębowe pulpity pokrywa gęsta siatka ulic – mapy przedwojennej stolicy ścielą się na stołach jak olbrzymia, kolorowa cerata. Pod Ursynowem, w Szczęśliwicach i Zbytkach trzy kubki z parującą herbatą.

Siedzimy w stałym składzie – troje studentów: dwoje z polonistyki, jedna studentka z Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Szczupła, energiczna, uśmiechnięta. Rodowita warszawianka, rocznik 1935. Pani Ania.

Za szybą slotna nadmorska jesień, a my wracamy do upalnego lata w sercu Polski, 76 lat temu. Co poniedziałek słuchamy wspomnień, w których ożywa walczące miasto: legendarne miejsca, przedmioty, zwierzęta i ludzie, których już nie ma. Z ruchomych obrazów rysuje się panorama dawnej Warszawy, widziana oczami kilkuletniej dziewczynki. Kreślona z rozmachem, jest straszna i wielka, pełna zapachów, kolorów i dźwięków.

Zza szkielec Pani Ani błyskają żywe, jasnoniebieskie oczy. Idzie-

my ich śladem, gdy odnajdują brunatny nieregularny kontur na mapie. Palec przesuwa się pewnie w stronę papierowej Woli.

NO DOBRZE, TO JEDZIEMY DO WARSZAWY

Mamy Żelazną, proszę bardzo. Mamy ulicę Żelazną, ulicę Leszno i ulicę Ogrodową. W tym miejscu, na ulicy Leszno, był gmach sądu, do tej pory zresztą jest. A tutaj, między Lesznom a Ogrodową, było w sumie pięć budynków i w tym środkowym mieszkałam ja: to jest Żelazna 89, mieszkanina 59. W tym miejscu, gdzie Leszno krzyżuje się z Żelazną, teraz jest Urząd Dzielnicy Wola. A wtedy to była jedna z czterech głównych bram wjazdu do getta.

Rodzice Pani Ani z dwiema córkami przeprowadzili się na Żelazną prawdopodobnie w 1941 roku. Kupili mieszkanie, które wymagało kapitalnego remontu.

Jego opłakany stan był pamiątką po poprzednich losach budynku. Jeszcze przed powstaniem w getcie warszawskim, które wybuchło 19 kwietnia 1943 roku,

połowa ulicy Żelaznej wchodziła w obręb getta. W czasie okupacji Niemcy systematycznie zmniejszali jego teren, skupiając Żydów w coraz ciasniejszej przestrzeni. Szacuje się, że łączna liczba ofiar getta warszawskiego wynosi około 400 tys. osób. Po rozpoczęciu eksterminacji, oficjalnie nazywanej „akcją deportacyjną”, Rada Starszych miała wyznaczać codziennie 6 tys. mieszkańców getta do transportu. Każdego dnia 6 tys. Żydów było wywożonych do obozu zagłady w Treblince. Wszystko to działo się zaledwie kilkaset metrów od mieszkania dziewięcioletniej Ani.

KOCIE ŁBY I KONWALIE

Trasa, którą mała Ania codziennie przemierzała do szkoły, prowadziła wzdłuż granic getta. Wysoki mur biegł samym środkiem Żelaznej. Po stronie żydowskiej znajdował się Szpital św. Zofii, w którym podczas wojny leczyli się wysoko postawieni oficerowie niemieccy.

Z jego okien, znudzeni, często celowali z karabinów w stronę



Tabliczka z numerem domu

Fot. Paulina Sokólska



Kamienica na ulicy Żelaznej 89 dzisiaj

Fot. Paulina Sokólska

dzieci idących z tornistrami. Ot, dla zabawy – nie strzelali, tylko celowali. Nie zawsze miało się jednak tyle szczęścia.

W tym roku, w którym było powstanie [w getcie warszawskim – przyp. red.], w maju, kiedy dzień jest długi, godzina policyjna zaczynała się o szóstej po południu. Wtedy przyjaciółka mamy zabrała mnie do Falenicy pod Warszawą, do ogrodu ich wspólnej koleżanki. Mama w tym czasie robiła w domu jakieś porządki, czy Bóg wie co. Ta przyjaciółka mieszkała na Chłodnej, czyli parę ulic od naszego domu. Kiedy wracaliśmy z Falenicy, już wiadomo było, że nie dojedziemy na czas i ona mnie nie zdąży odprowadzić. U nas nie mogłaby zostać, bo czasem pukali do drzwi i w dokumentach sprawdzali, czy wszystkie osoby faktycznie mieszkały pod danym adresem. Więc ona na ulicy Chłodnej wysadziła mnie z tramwaju i mówi: „Słuchaj, jest dziesięć minut, dobiegniesz do domu”. I teraz wyobraźcie sobie: malutkie dziecko – bo byłam fizycznie bardzo drobnym dzieckiem – z bukietem kon-

walii, biegnie środkiem ulicy. Specjalnie środkiem, żeby było widać na pewno, że to nie jest żaden zamachowiec. Do osiemnastej była jeszcze chwila. I nagle z wieży strażniczej przy bramie getta Niemcy zaczęli strzelać.

Gdyby chcieli mnie trafić, to by natychmiast trafili, ale oni strzelali po bruku. Podejrzewam, że wyżej czubka głowy mieli tych nudów na posterunku i strzelali dookoła mnie dla zabawy. Tyle, że ulica była w kocich łbach. I wiecie, co to są rykoszety? Że pocisk może się odbić w dowolnym kierunku?

Biegłam przerażona i cały czas słyszałam trzask zamykanych bram, bo wszyscy dozorczy mieli obowiązek zamknąć je przed osiemnastą. Pędziłam, ile sił w nogach. Dozorca mojego domu też już miał sięgać po klucze, ale wychylił jeszcze głowę zaciekawiony, co to za imprezy robią, że takie strzały. Wtedy mnie poznał. I czekał, nie zatrzasnął mi drzwi przed nosem, tylko czekał z otwartą bramą.

Dopałam do tej bramy, na jego rękach zemdlałam i cucono mnie dwa dni.

PROSIACZEK

Pociąg do Warszawy. Trzy godziny drogi, kilka przecznic spacerem i naprzeciwko tabliczka z adresem – Żelazna 89. Na dole przeszklone sklepy, wielki baner KEBAB & GRILL, neon barbera, słowem – budynek, jakich pełno.

Dawniej to była bardzo elegancka, dwupodwórkowa kamienica po tej stronie ulicy, która nie była włączona do getta. Od frontu pięć pięknych, czarnych, bazaltowych filarów dawało podcień, w którym można było się schować podczas słonecznych dni. Te dwupodwórkowe kamienice były częstym zjawiskiem w Warszawie. W 1939 roku część rozdzielająca oba podwórza została zbombardowana.

Przez całą wojnę oba podwórza dzieliły dwie sterty gruzów, które trochę osiadły, zarosły, ale zimą, gdy spadł dobry śnieg, dzieci sobie mogły z nich pojeździć na sankach. Z tych mieszkań, które zostały wyburzone, pozostał jak gdyby fragment łazienki. W czasach wielkiej biedy zaopatrzeniowej, na początku 1944, tata wymyślił, że jeśli trochę się zamuruje



Targowisko na placu Kercelego w okresie międzywojennym

Fot. autor nieznan

Źródło: D. Kobielski, *Warszawa międzywojenna*, Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne, Warszawa 1969, s. 136, CC.

i dołoży drzwiczki, to powstanie taka „komórka” ze ściekiem, w której my będziemy, uwaga: hodować prosiaczka. Oczywiście w celach konsumpcyjnych.

Pani Ania uśmiecha się z rozczuleniem: *Opiekowałyśmy się Prosiaczkiem wspólnie z siostrą. Urządzałyśmy mu kąpiele w domowej łazience, wycierałyśmy go w ręczniki frotte i tak go rozpuściłyśmy, że na końcu chciał jeść tylko barszcz czerwony ze śmietaną i kartofelki kraszone słoniną. No tak, bo to było nasze ukochane zwierzątko.*

Zaraz jednak jej wzrok pochmurnieje, kąciki ust opuszczają się z wolna i jeszcze chwilę wcześniej, zanim dopowie zakończenie tej historii, nie ma już wątpliwości, ku czemu dąży. *Prosiaczek został w swoim zakątku w czasie powstania [warszawskiego – przyp. red.]. Podejrzewam, że jak Ukraińcy w służbie niemieckiej zaczęli penetrować budynek, to do Prosiaczka na pewno się dobrali.*

VICTORIA

A o żółwiu wam opowiadałam? Bo nie tylko zdarzały się same

smutne rzeczy. Był taki moment, gdy cała okupacyjna Warszawa handlowała żółwiami.

Jeśli przejrzeć fora historyczne w internecie, okazuje się, że dzisiaj wielu w ogóle nie wierzy w ten zabawny incydent. Trudno także ustalić, jak do niego doszło.

Część osób utrzymuje, że to Armia Krajowa zdołała rozbroić i przechwycić wagony z transportem zaopatrzeniowym, w którym jechały greckie żółwie przeznaczone na konserwy dla Wehrmachtu. Historyk codzienności wojennej stolicy, Tomasz Szarota, pisze z kolei o błędzie polskiego pośrednika, który omyłkowo zakupił od Niemców wagony ze zwierzętami.

Wszystko, co zostało odbite z transportów, trafiało przeważnie na Kercelak. To było targowisko, jedno z najsłynniejszych w mieście, podobnie jak potem Bazar Różyckiego. Na Kercelaku można było kupić wszystko: od artykułów żywnościowych, przez zdobyte barterem przedmioty z getta, po szmuglowaną broń. Właśnie stamtąd pewnego dnia tata Ani przyniósł do domu żółwia. *To był duży żółw, kawał żółwia. Ja byłam małą*

dziewczynką – potrafiłam na nim stanąć i nic złego mu się nie działo.

Wszystko to wydarzyło się w szczególnym czasie, na którymś już etapie symbolicznej przepychanki między ludnością podbitej stolicy a okupantem.

Wojna od początku toczyła się także na ścianach i murach budynków. Oprócz słynnej „kottwicy”, Polacy, wzorem aliantów w pozostałych krajach, malowali na elewacjach literę „V”, oznaczającą Victory, czyli zwycięstwo. Propaganda niemiecka pod wodzą Josepha Goebbelsa nie pozostawiła tych akcji bez odpowiedzi. Na przełomie lipca i sierpnia 1941 roku Niemcy zaczęli kolportować ulotki i upowszechniać tę samą literę jako symbol przyszłego zwycięstwa III Rzeszy. Tutaj znów warszawiacy wykazali się pomysłowością. Na murach obok liter „V” zaczęły wkrótce pojawiać się rysunki żółwi – ironiczny przytyk do tempa, w jakim osiągnane było rzekome zwycięstwo najeźdźcy. Towarzyszyły im także hasła nawołujące do powolnej pracy w przejętych przez Niemców zakładach i fabrykach.



Od lewej: Bogda, Irka, Pani Ania

Fot. archiwum prywatne

Kiedy więc do mieszkania pod numerem 59 zawitał żółw, nikt nie miał wątpliwości, jakie imię otrzyma. To była Victoria.

HEKSA

Victoria zdołała wprawdzie uniknąć śmierci w brzuchu niemieckiego żołnierza, ale nie dane jej było przeżyć powstania. Została w mieszkaniu. Los prosiaczka i żółwia podzielił także piesek małej Ani, Heksa. *Taki łaciaty terier ostrowłosy, bardzo fajny. Heksa, czyli czarownica po niemiecku.*

Koniec Heksy był bardzo dramatyczny. Kiedy w czasie powstania ukrywaliśmy się gromadnie w piwnicach, Heksa bardzo się denerwowała i szczekała. Moja mama uznała, że trzeba zostawić ją na górze, w mieszkaniu. W krytycznym momencie, o którym później opowiem, nikt o niej nie pomyślał.

Podczas powstania nasza ofiaryna została zapewne zbombardowana. Kiedy rodzice po wojnie wrócili, zastali tylko rumowisko. Nie było żadnych schodów, jedynie urwista ściana z fragmentami podestów. Mama wspięła się po

tych gruzach i przed wejściem do naszego nieistniejącego mieszkania znalazła szkielet Heksy.

Zapewne drzwi zostały przez Ukraińców wyważone i Heksa wydostała się z domu. Pobiegła nas szukać, ale nie znalazła, więc wróciła pod drzwi. I tam, na tej klatce schodowej, splonęła albo się udusiła dymem.

Z niebieskich oczu bije bezbrzeżny smutek, strata, z którą nigdy nie udało się pogodzić. I nagle ma się wrażenie, że obok siedzi mała dziewczynka. Pomimo 86 lat ta mała dziewczynka nie przestała nigdy opłakiwać swojego pieska, który zginął w męczarniach. Pani Ania szuka potwierdzenia w naszych oczach: Bo los mojego psa też jest dramatycznym losem wojennym, prawda?

NA NASZYM PODWÓRKU

W okupowanej Warszawie żadnego domu nie można było uważać za bezpieczny azyl. Pani Ania wspomina, kiedy śmierć po raz pierwszy zapukała do ich kamienicy:

Pewnego razu budynek został poddany rewizji. Niemcy przetrzasali wszystkie mieszkania. Nie szu-

kali nikogo z mojej rodziny, ale i tak czuło się przerażenie, które jakby przenosiło się przez ściany.

Jak się okazało – niebezpiecznie. We frontowej części budynku, na parterze, od podwórza mieszkał stary schorowany człowiek, który poruszał się na wózku. Sąsiedzi pomagali go zaopatrywać w różne rzeczy, bo sam nie opuszczał mieszkania. Podczas rewizji Niemcy go zastrzelili.

Dla wszystkich była to wielka trauma. Nikt nie mówił potem o tym w ten sposób, że skończyło się jego nieszczęście, bo był nieuleczalnie chory. Nie, dla wszystkich nieszczęściem było to, że pozbawiono człowieka życia. Pamiętam jeszcze drugą rewizję: wtedy akurat szukali mojej siostry.

IRENA I BOGDA

Pani Ania wyciąga z torebki niewielką fotografię: O, tutaj jestem ja z siostrami. Ja byłam najmłodsza. Potem od lewej to Bogda – najstarsza, rocznik 1927, Irka – 1929, a ja – 1935, taki rozrzut.

Z Ireną wychodziłyśmy z Warszawy. Siostra miała podyfterytową wadę serca. Przeżyła jakimś

cudem tamtą ewakuację, ale jej losy też potoczyły się dość dramatycznie. Jako dwudziestoosmioletnia kobieta urodziła syna i ta podyfterytowa wada plus niedopilnowanie porodu sprawiły, że nastąpiło poważne uszkodzenie serca. Konsekwencja była taka, że przez pierwszy rok po urodzeniu dziecka, jak pielęgniarka przychodziła ciut za późno z zastrzykiem stromofantyny, to ona umierała. I tak miałam trzy razy w tygodniu kochając siostrę. Potem jakoś się to uregulowało, bo umarła miesiąc przed maturą swojego syna, ale z ostatnich dziewiętnastu lat życia czternaście spędziła w szpitalach.

Natomiast moja druga siostra jako bardzo młoda dziewczyna, na samym początku wojny, została wzięta z łapanki i wywieziona do Niemiec. To była prześliczna dziewczyna z bardzo długimi, kręcącymi się włosami, które zaplatała w warkocz. Sięgały jej prawie do kolan.

Bogda miała niecałe 13 lat, gdy została wywieziona, zarejestrowana i zmuszona do pracy w III Rzeszy. Fatalne warunki sanitarne utrudniały zachowanie higieny, stąd szybko rozpowszechniała się wszawica. W końcu dotknęła i siostrę Pani Ani. Niemcy za takie rzeczy od razu zabijali; nie próbowali czymkolwiek leczyć. Wiedząc o tym, Bogda zrozumiała, że nie ma innego wyboru; postawiła więc wszystko na jedną kartę i uciekła z Niemiec. Skutecznie.

Gdy zapukała do drzwi naszego mieszkania, wszyscy byliśmy w szoku. Pamiętam ten moment, jak ojciec obcinał jej włosy do gołej skóry. Siedzieli z Bogdą przy kuchni węglowej. I te cudowne warkoczki leciały prosto w ogień. Wszystko razem płonęło, a potem rodzice okładali jej głowę arniką, żeby skóra się zagoiła, bo trzeba było przecież pokonać cały problem chorobowy. Wszystko to się udało.

Ale było jasne, że to nie koniec kłopotów. Najlepiej czuła to sama

Bogda. Wiedziała, że niedługo Niemcy przybędą jej szukać. Faktycznie – przybyli. Zanim jednak zjawili się w domu, Bogda zdążyła wyjechać do rodziny, do Bolimowa. Miała jednak świadomość, że to jedynie rozwiązanie tymczasowe. Niemcy z łatwością mogli dotrzeć do informacji, gdzie mieszkają jej krewni. To była tylko kwestia czasu.

Z tego powodu w 1943 roku, w wieku zaledwie 16 lat, Bogda podjęła kolejną brawurową decyzję. Nie mówiąc ani słowa rodzicom, samodzielnie wsiadła w pociąg i pojechała do Niemiec, pod holenderską granicę. Wynajęła się tam do pracy. Po pierwszym pobycie знаła już niemiecki. Wyjechała, wychodząc z założenia, że najciemniej jest pod latarnią, że tam jej nie znajdą.

Że jej nie będą szukać! Komu by to przyszło do głowy? Bez sensu, prawda? Oczywiście poszukiwania trwały jeszcze przez jakiś czas. Potem stwierdzili, że widocznie musiała zginąć po drodze. Bogda do końca wojny pracowała za granicą. Tam zresztą poznała młodego Polaka, wzięta z nim ślub i po wojnie wróciła z niemowlęciem na rękę. Kiedy wracali do kraju, jej mąż wysiadł w Poznaniu po papierosy i nigdy więcej go nie zobaczyła. Niewykluczone, że już wcześniej był żonaty i wrócił do swoich. Mojej siostrze zostało dziecko i świadectwo ślubu.

Natomiast ci Niemcy, u których się zatrudniła, bardzo serdecznie ją wspominali. Kiedy tam pracowała, prędko okazało się, jakie będzie jej główne zajęcie, bo ta niemiecka rodzina całkiem zwariowała na punkcie pysznych polskich pierogów. W dodatku była wielodzietna, więc Bogucha lepiała tysiące pierogów, żeby zaspokoić zapotrzebowanie. Pani Ania śmieje się z całego serca.

Po wojnie, mimo że oni wielokrotnie serdecznie ją zapraszali i chcieli nawiązać przyjazny

kontakt, moja siostra nie chciała mieć nic wspólnego z Niemcami. Niemców szczerze nienawidziła, co było absolutnie zrozumiałe.

Jedno z ostatnich życzeń Bogdy dotyczyło sposobu pochówku. Kiedyś tylko w Poznaniu znajdował się cmentarz, na którym rozsypano prochy, i Bogda właśnie tam chciała być pochowana. Na cmentarzu jest pole otoczone niewysokim murkiem, a na murku tabliczki: imię i nazwisko, dwie daty. Nic więcej. Gdy Bogda odeszła, tam zostały rozsypane jej prochy.

Wymyśliła tak przez wzgląd na losy grobów rodzinnych podczas wojny. Ale był także inny powód. Jej życie tak się potoczyło, że przynajmniej w sprawie śmierci wołała mieć pewność. Nie chciała, żeby ktokolwiek kiedykolwiek jej kości skądś dokądś przerzucił.

OKNO NA ŚWIAT

Strzelanie w Warszawie w czasie wojny to był chleb powszedni. Jeżeli w ciągu dnia padały jakieś strzały, to w gruncie rzeczy nic nie znaczyło. Nie rzucaliśmy się wszyscy naraz do okien, tylko mówiliśmy: „No, znowu gdzieś tam strzelają, tak?”. Dorośli byli zajęci dalekimi sprawami. I nie inaczej było tamtego dnia. To mógł być rok 1942. Kuzyni mojego ojca mieszkali z widokiem na boisko sportowe i myśmy poszli tam w odwiedziny.

Tak się złożyło, że byłam akurat jedynym dzieckiem, które znalazło się na tym spotkaniu dorosłych. Na dworze strzelali. No więc biedny malec – nie zabrałam ze sobą żadnej zabawki ani nic i pewnie z nudów podeszłam do okna, a za oknem miałam egzekucję Żydów przy wykopanych rowach.

Obok tych ustawionych do rozstrzeliwania, ci już leżący. Widziałam wszystko: jedni padali, po czym następna ekipa, którą przywozili, miała lekko przysypać tamtych, zanim sama pójdzie pod



Przed wojną – Pani Ania w Ogrodzie Saskim

Fot. archiwum prywatne

ścianę. Po nich przyjeżdżali jeszcze kolejni i zasypywali poprzednich, taki powtarzający się cykl.

W którymś momencie dorosli zorientowali się, że ja patrzę na to, na co nie trzeba. To są świetne widoki dla siedmioletniego dziecka, nie? Pamiętam, że ktoś rzucił się, żeby mnie odciągnąć od tego okna i syknął do ucha: „Jak coś zauważą, to cię snajper zabije”.

Nie, nie żądali od mieszkańców, żeby okna były zasłaniane. Jedynie nie wolno było przez nie wyglądać i patrzeć, co się dzieje.

BECHSTEIN NIE DOJECHAŁ

Pani Ania swoje życie zawodowe związała z muzyką. Po studiach muzycznych trochę pracowała w orkiestrze i uczyła gry na wiolonczeli w szkole muzycznej. Wielką sympatią darzyła jednak zawsze muzykę fortepianową. Do dziś jest wierną fanką Konkursu Chopinowskiego. Zanim wiolonczela skradła jej serce, miało to zrobić pianino.

Był taki czas, że moja mama mieszkała razem z rodzicami w Krakowie, w tym samym domu, w którym mieszkała także mała Halina Czerny – później Halina Czerny-Stefańska – pilnie ćwicząca na fortepianie. W związku z tym mamie się marzyło, że jej dziecko też będzie grało na tym instrumencie. To marzenie miało się ziścić latem 1944 roku.

W lipcu byliśmy z mamą na wakacjach nad jeziorem. Wróciliśmy pod koniec miesiąca do Warszawy, bo pierwszego sierpnia miał być przywieziony kupiony dla mnie fortepian bechstein. Bechstein nie dojechał, bo wybuchło powstanie.

Pani Ania śmieje się lekko, z ledwie wyczuwalną goryczą. Zaraz jednak zawiesza wzrok gdzieś w przestrzeni i zamyślona dodaje: Gdyby nie powstanie, byłabym może pianistką.

GŁOS POWSTANIA

Pierwsze piętnaście minut powstania pamiętam bardzo wyraźnie. Na nasze podwórko wniesiono ciężko ranną kobietę. Została postrzelona w brzuch. Szpital był za daleko, nie było szansy na żaden ratunek. Krzyczała, póki miała siłę. Nie umiem powiedzieć, jak długo. W końcu się wykrwawiła. Ale ten krzyk przeraźliwy został mi w pamięci. Wiecie, coś takiego odciska się na całe życie. Wydaje mi się, że czasami wciąż go słyszę.

PUCH NARODU

Na samym początku powstania czuło się w całej Warszawie radosne podniecenie. Zwycięstwo wydawało się tak realne i bliskie, że Polaków ogarnęła atmosfera ogólnego entuzjazmu.

„Chodź, chodź, musisz to zobaczyć!” – pamiętam, że siedziałam tacie na ramieniu i tak zaniósł mnie na Ogródową. „Popatrz” – mówi – „bo sprzed wojny nie pamiętasz”.

Na całej ulicy powiewały białoczerwone flagi zrobione, z czego się dało. Było coś niezwykłego w tym, że Polacy natychmiast potrafili się zorganizować. No więc biały materiał – to proste, bo wtedy były Iniane prześcieradła. Natomiast... Czy wiecie, co to jest inlet?

Nie wiedzieliśmy. Za Wikipedią: „Inlet – rodzaj bardzo gęstej tkaniny bawełnianej, o splocie skośnym, atlasowym bądź płóciennym. [...] Cechą charakterystyczną jest konstrukcja tkaniny, która uniemożliwia przedostawanie się piór oraz pierza na zewnątrz”. Więc z tego inleto były poszwy na poduszki i kołdry? – pytamy.

Jakie kołdry? Pierzyny! To był czas pierzyn! Jak gęstszy inlet, to mogła być nawet puchowa pierzyna, arcyciepła! I właśnie on był czerwony, więc najprostsza rzecz, żeby uzyskać materiał na flagę, to



Kocie łby na ulicy Ogródowej dzisiaj

Fot. Paulina Sokólska

było rozpruć tę pierzynę. A zatem: górą – białe prześcieradło, dołem czerwony inlet, z którego jeszcze leciało pierze, bo nie da się przecieć tak błyskiem wytrzepać, a nikt przecież nie miał zdrowia, żeby to prac i czyścić. Dlatego leciały te pióra i właśnie to zapamiętałam jako dziecko: pierzaste białoczerwone flagi na ulicy Ogródowej.

CZAPECZKA Z POMPONEM

Podczas powstania życie Warszawy przeniosło się do podziemi. Wydawało się, że w piwnicach będzie jakoś bezpieczniej. No, średnio bezpieczniej, bo jak się dom zawalił, to ludzie przewaźnie i tak ginęli. W każdym razie zeszliśmy. W naszej piwnicy zgromadziło się mnóstwo ludzi, każdy ze swoimi manatkami, przygotowanymi na ewentualną tułaczkę.

W piwnicach tłoczyły się całe rodziny. Było dużo małych dzieci, które płakały z powodu gorąca, strachu i ogłuszających wybuchów na zewnątrz. Wszyscy poddenerwowani. Dziewięcioletnia wówczas Ania pomagała matkom zabawiać maluchy. Udawała Świętego Mikołaja, biegając dookoła w zimowej czerwonej czapeczce

z pomponem. W przygotowanym na ucieczkę bagażu miała też zimowe czerwone paletko. Była pełnia lata, więc absurd całej sytuacji dawał komiczny efekt.

Myśmy byli w czasie powstania krótko, nie umiem powiedzieć, czy to było sześć czy siedem dni.

Rzeź Woli przypadła dokładnie na 5–7 sierpnia. Od „czarnej soboty”, jak nazywano potem piąty dzień powstania, rozpoczęło się masowe ludobójstwo tamtejszej ludności. W kolejnych dniach Niemcy wymordowali ok. 40 tys. mieszkańców dzielnicy. Natarcie przypuszczały oddziały gen. Reinera i brygady Dirlewangera, znane ze szczególnego okrucieństwa.

Pamiętam, że ostatniego dnia w piwnicy moja mama poszła do mieszkania, żeby zanieść Heksie jedzenie. Podeszła do okienka, które rodzice kazali kiedyś dodatkowo przebić na tak zwanej ślepej ścianie budynku. A przez to okienko zobaczyła na podwórzu domu przy ulicy Ogródowej masową egzekucję. Wszystkich ludzi, którzy byli w budynku, ustawiono pod mur i wystrzelano. Mama wróciła do piwnicy kompletnie roztrzęsiona.

Nie trzeba było długo czekać. Jeszcze tego samego dnia Niemcy weszli na podwórko kamienicy, w której ukrywała się rodzina Pani Ani. Wszyscy mieliśmy przygotowane jakieś paczuszki, gdyby trzeba było nagle wychodzić. Jak weszli Niemcy i zaczęli nas wyprowadzać, mama to wszystko wyrwała nam z rąk. Widziała, jak rozstrzelali sąsiadów i była przekonana, że nas spotka to samo.

Wygnano nas na ulicę. Poszliśmy z pustymi rękami. Ja w czerwonej czapeczce z czarnym futrzanym pomponem. O Heksie nikt nie pamiętał.

WYSTYGLY PIEC

Pani Ania przez telefon: Jak będziesz w Warszawie, to na jednym odcinku Ogródowej, zobacz, bo tam został fragment kocich łbów! Na miejscu okazuje się, że nawet kilka fragmentów. Na odcinku kilkunastu metrów pozostawiono biegnące środkiem ulicy podłużne pasma dawnego bruku. Kiedy odbywał się exodus Woli, cała, licząca blisko kilometr, trasa była wysadzana kamieniem polnym. 7 sierpnia 1944, po zajęciu dzielnicy, Niemcy pognali ulicą Ogródową mieszkańców wy-

prowadzonych z piwnic i podpalili okoliczne budynki.

Ulica Ogrodowa – nie bardzo przecież szeroka – pamiętam, jak stała w ogniu. Zupełnie niesamowite uczucie. Z obu stron, od góry do dołu wszystkie budynki płonęły. I wtedy dopiero widzieliśmy, jak to miasto było zbudowane z niczego. Podsufitki kładziono wtedy z trzciny, więc miało się co palić. Podłogi były drewniane, drewniane legary pod podłogami, stropy drewniane, żadne tam stropy Ackermana! Miało się wrażenie, że wchodzi się w gorejący piec. Gdyby nie to, że Niemcy szli razem z nami, to przypuszczałabym, że wrzucają nas, żebyśmy się tam spalili żywcem. Ale kolumna była eskortowana i oni przechodzili tamtędy razem z nami. Czyli, no, samych siebie, by nie spalili, prawda...?

Natomiast te kocie łby pod stopami były tak rozżarzone, że mojej ciotce, która szła w elegancjach oficerkach, przepaliły się całe zelówki. Kiedy przeszła do końca, miała pod spodem tyle przepalonych dziur, że żaden szewc by tych butów nie umiał naprawić.

Z różnych makabrycznych obrazów został mi jeszcze w pamięci koń uwiązany do latarni gazowej, któremu płonęła sierść, grzywa i ogon. Jeszcze żył. Z jakiegoś powodu właściciel uwiązał go tam i zostawił. Niemcom nie żal było kul na ludzi, których wyciągali z kolumny, ale żal im było na tego konia.

POD ŚCIANĄ

Podczas marszu płonąca ulicą stojący wzdłuż konwoju esesmani wylawiali poszczególne osoby na podstawie ubioru. Jeżeli ktoś nosił charakterystyczne oficerki albo płaszcz, tzw. prochowiec, natychmiast oceniali, że na pewno należy do AK. Wtedy wyciągali nieszczęśnika i na miejscu rozstrzelali.

Określony model prochowca i oficerki były wtedy prawie jak

mundur. Ale niektórzy nosili je dla szpanu, więc mieli wtedy pecha. Kolumna była długa, szli przecież mężczyźni z wielu ulic Woli wyprowadzeni tego dnia, więc Niemcy nie nadążali z wystrzeleniem wszystkich „podejrzanych” po drodze. Dopiero pod koniec Ogrodowej znaleźliśmy się wśród ludzi ustawionych pod ścianę. Tam miał być koniec. Ale czekaliśmy... i nic.

Po latach moja mama wspominała, że poprosiła wtedy: „Jak zaczną strzelać, podnieś mnie do góry, żebyśmy zginęły razem”. Wiedziała dobrze, jaki był los niedobitych dzieci. Czekala je śmierć od kolby karabinu albo żołnierskich butów.

Po wojnie odnalazłam to miejsce, gdzie ustawiono nas do rozstrzelania. Wybrałam się na wędrówkę dokładnie tą trasą, którą nas wyprowadzali w czasie powstania. I doszłam do tego miejsca. Jestem pewna, że to było dokładnie tam. Tamtego obiektu, czymkolwiek był, już nie ma. Teraz stoi tylko taki szklany dom, jakiś bank, ubezpieczalnia czy inna firma przeszklona od góry do dołu. Żadnej tabliczki. A zresztą! Takie tabliczki powinny wisieć na każdym domu tej dzielnicy, bo wtedy prawie pod każdym domem, na każdym podwórku Woli były miejsca egzekucji.

Mnie się tak jakoś upiekło. Chcieli mnie rozstrzelać, ale mnie nie rozstrzelali. Ciotka całe życie była przekonana, że to dzięki Biblii, z którą w ramionach opuszczała Warszawę. Że cud. Dopiero po latach dowiedziałam się, jak było naprawdę. Podobno zawiodło zaopatrzenie i Niemcom brakowało tego dnia amunicji; mieli za mało naboju.

Dość późno dotarłam do tej informacji, chociaż już jako jedena-stolatka zamiast jak inne dzieci czytać Anię z Zielonego Wzgórza, wertowałam wielkie tomy proto-

kolów Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce i szukałam uzasadnienia, dlaczego to wszystko się zdarzyło. Bezskutecznie. Bo jeszcze cały czas w tym jest to, że oni szli z hasłem „Gott mit uns”. „Gott mit uns” miał na pasku ten, kto do mnie miał strzelać. Z nimi był Bóg, z nami był Bóg, to właściwie gdzie on był, prawda?

PRUSZKÓW. BYDLĘCE WAGONY

W przejętym przez siły niemieckie kościele św. Wojciecha odbyła się duża selekcja: mężczyźni zostali, kobiety z dziećmi pognano dalej, do Dulagu 121 w Pruszkowie.

Moja pamięć zawodzi i nie wiem, czy wszyscy nocowaliśmy w tym kościele, czy jeszcze tego samego dnia, gdy nas przyprowadzili, odseparowano od nas tatę, a my zostałyśmy zabrane do parowozowni w Pruszkowie. Gdy wyprowadzono nas już poza Warszawę i oglądałam się przez ramię, to widziałam wielką krwawą łunę nad miastem.

Transport z Woli był pierwszym, który dotarł na miejsce. Dulag (albo durchgangslager), czyli obóz przejściowy, utworzono 6 sierpnia 1944 w Pruszkowie na terenie dawnych Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego. Dzisiaj na murze wokół byłego obozu znajduje się napis: „Tędy przeszła Warszawa”. Szacuje się, że w czasie funkcjonowania tego obozu przeszło przez niego ok. 650 tys. osób.

Podobno, jeśli ktoś miał odpowiednich znajomych lub łapówki czy inne rozmaite dodatkowe środki, mógł być stamtąd wyciągnięty. Kiedy na Woli rozstrzelivano tylu ludzi, to była ta wczesna faza, gdy Niemcy jeszcze nie wypuszczali warszawiaków. Dopiero potem, gdy rozładowywali już całe miasto i nagle mieli milion ludzi „do zagospodarowania”, po pro-



Transport z wypędzonymi warszawiakami opuszczający obóz w Pruszkowie

Fot. Ewald Theuergarten

Źródło: E. Borecka, M.M. Drozdowski, J. Górski, J. Kazimierski, *Exodus Warszawy – ludzie i miasto po powstaniu 1944*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1992, CC.

stu wypychali ich poza Warszawę. Niby przepustowość obozów była duża, ale widocznie nie aż tak. Znacząco przepustowość przez komin, o tej przepustowości myślę.

W początkowym okresie powstania miały więc miejsce masowe wywózki do obozów koncentracyjnych. Na pierwsze 10 dni sierpnia przypadł czas największych upałów. W nieprawdopodobnym skwarze Niemcy ładowali jeńców do wagonów, pierwotnie przeznaczonych do transportu bydła. Od góry szczelnie kryte, miały jedynie dwa małe okienka: każde na jednym boku, przy przeciwległych kątach, więc ruch powietrza był zapewniony tylko teoretycznie.

W którymś kąci takiego wagonu ścisnęliśmy się wszystkie: moja mama przytulona do ukochanej ciotki, mojej siostry, no i do mnie. Te dorosłe osoby chroniły nas przed całym nieszczęściem, na ile się dało. Wokół straszny tłok. Ludzie, starzy, chorzy. A nawet jeżeli nie chorzy, to istnieje coś takiego, jak naturalne potrzeby fizjologiczne, nieprawdaż? Za pomocą scyzoryków, bo innych narzędzi na pewno nikt tam nie miał, wydlubano dziurę w podłodze, żeby był

ten kąt sanitarny. Okazuje się, że tak, jak małe dziecko potrafi super-samochód metalowy bez narzędzi rozebrać gołymi rączkami, tak ta zdolność jest w narodzie. Deska została wyrwana, za pierwszą deską wyrwano też drugą na tyle, że można było próbować... No i znaleźli się oczywiście ryzykanci, którzy w biegu pociągu na te tory wyskakiwali. Z rozmaitym skutkiem.

UCIECZKA

W którymś momencie Niemcy zorientowali się, że w jednym z wagonów jest coś nie tak. W Skierniewiczach zatrzymano pociąg. No i okazało się, że to nasz wagon. Otworzyli wejście do wagonu. Musicie wiedzieć, że to nie są wąskie drzwi, tylko szerokie wrota, przez które można po rampie zaganiać zwierzęta do środka. Rozsuwana brama, jak wjazd do garażu. I kiedy ci Niemcy ją otworzyli, tłum rzucił się na nich. Wszyscy chcieli wysiadać. Niemców na dzień do bry było za mało, żeby wszystkich zatrzymać, wobec czego zostali przewróceni i tłum się rozbiegł.

Dopiero wtedy pozostali Niemcy, którzy byli w obstawie pociągu, rzucili się, żeby opanować sytuację.

A w wagonie, gdzieś tam w kąci ku zostałyśmy: mama, ciotka i ja z siostrą, dwie biedne sieroty. Moja ciocia była osobą dość rzeczową. Spojrzała na nas i powiedziała: „No, to wysiadamy”. Ale to już był ten moment, że wszędzie uciekają, wszędzie strzelanina, pogoń. I pośród tego chaosu spokojnie wysiadają cztery osoby. Idziemy normalnym krokiem do wyjścia dworcowego.

I to był dla mnie pierwszy raz, kiedy zauważyłam, że nie wszyscy Niemcy od razu zabijają. Obsługa stacji była oczywiście niemiecka. Żeby wejść na teren kolejowy, trzeba było wtedy mieć albo bilet, albo peronówkę. Zawsze stał kontroler, który to sprawdzał.

Wiadomo było, skąd przyszłyśmy, zwłaszcza ja: w tych sandałkach, letniej sukience i czerwonej zimowej czapce z pomponem. Wszystko wskazywało na to, że jesteśmy z tego transportu. I oni udali, że nas nie widzą. Może okazali trochę współczucia? Trudno powiedzieć, prawda?

To był szczyt szczęścia, bo na zajutrz już by się nam nie udało. Następnego dnia zmieniono posterunki na brunatno umundurowane, strzelające.



Guziki od włoskiej niani

Fot. Paulina Sokólska

W Skierniewicach, gdy zatrzymywano pociągi, Czerwony Krzyż podawał do wagonów wodę przez małe szparki okienne i starał się zebrać nazwiska. Ludzie pisali karteczki i dawali, żeby tamci mogli przekazać bliskim wiadomość, co się dzieje. W ten sposób dowiedzieliśmy się, że dzień wcześniej takim samym transportem jak nasz mój ojciec został wywieziony do obozu.

KU SŁOŃCU

Ze Skierniewic los zagnał cztery uchodźczynie dalej, do Bolimowa. Kilkunastokilometrowa trasa wiodła przez Puszcze Bolimowską. To nie była prosta sprawa, zwłaszcza, że byłam bardzo miejskim dzieckiem. Moje warszawskie nogi były co najwyżej nawykłe do spacerowania po parku, a hasło „Nie deptać trawników” miałam widocznie wpisane w metrykę urodzenia.

Wędrownica okazała się prawdziwym koszmarem także z innej przyczyny. W lesie ukrywali się partyzanci, a teren był stale patrolowany przez Niemców. Nie strzelali do złapanych. Zamiast tego wieszali ich na gałęziach tak, że jak się przechodziło przez te ścieżki, to można było głową o czyjeś nogi zahaczyć. Pierwszy raz szliśmy z dużą grupą na ramieniu. Wiedzieliśmy, że dzień czy dwa dni wcześniej ktoś tam zdejmował powieszono.

Chwila oddechu nadeszła dopiero w Krakowie. Tam Pani Ania po raz pierwszy od dawna poczuła spokój. Kobiety z dziewczynkami znalazły się u znajomych. Dzieci tych państwa były już dawno dorosłe i mieszkały za granicą, ale ich bona, zaprzyjaźniona z rodziną Włoszka, została u swoich pracodawców. Kiedy mała Ania przekroczyła próg tamtego domu, stała się dzieckiem do zaopiekowania.

Z wielką czułością wspominam tę Włoszkę. Nie wiem, jak miała na imię, moja siostra nazwała ją

Poppea. Była fantastyczną, serdeczną, niezwykłą dla mnie osobą. Z anielską cierpliwością budowała ze mną różne zamki, pierwszy raz w życiu robiłam makiety pod jej czujnym okiem. Ta kobieta, o której dziś tak mało wiem, po całym koszmarze, jaki przeżyłam, była jak Słońce nade mną.

Gdy przyszła chwila rozstania, Poppea – kolekcjonerka oryginalnych guzików – podarowała mi coś ze swoich zbiorów: prześliczne filigranowe guziczki. Wciąż mi towarzyszą. Od lat przyszywam je do jakiejś bluzki (zawsze czarnej, żeby były odpowiednio wyeksponowane), którą mogę ubrać, idąc do teatru lub na koncert. Wtedy symbolicznie jestem razem z Poppeą.

CHRZEST BOJOWY

Szczęśliwe zrzędnienie losu spowodowało, że dzięki informacjom z ochotniczej poczty Ania z mamą i siostrą znalazły się wkrótce w krakowskim szpitalu, w którym pracowały polskie sanitariuszki z powstania. Wśród nich była matka chrzestna dziewczynki.

Z moim chrztem była zabawna sprawa. Gdy przyszłam na świat, w Szpitalu św. Zofii, widocznie kiepsko rokowałam, bo pielęgniarki ochrzciły mnie z wody.

Parę lat później, jak zaczęły w trzydziestym dziewiątym roku bomby lecieć na Warszawę, akurat przyjechał brat mojej mamy i zgłosił protest, że dziecko, czyli ja, jest w zasadzie nieochrzczone. Złapał za rękę sąsiadkę Danusię, którą lubiłam i z której młodszym bratem często się bawiłam. Pobiegli ze mną do kościoła we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku, chowając się w różne bramy, bo co chwilę słyszały: OGŁASZAM ALARM DLA MIASTA WARSZAWY i wycie syren. Zostałam wtedy ochrzczona po raz drugi, bez ojca, bez mamy. Ojciec był na froncie, mama miała swoje zdanie w sprawie religii.

I w tym szpitalu krakowskim, wśród AK-owskich pielęgniarek, które uratowały się z powstania, ostatni raz w życiu widziałam moją matkę chrzestną. Z tamtego dnia zostały mi w pamięci potoki łez, kiedy opowiadała, co przeżyła i ilu umierało przy niej ludzi, którym nie mogła pomóc, bo nie miała jak.

Pomimo ciężkiej rozmowy i niesprzyjających warunków trudno nie uznać tego spotkania za niezwykle fortunny zbieg okoliczności. Nie ostatni zresztą. Niedługo pocztą pantoflową miała dotrzeć także wieść, że ojciec Ani wrócił z obozu i zatrzymał się u swojej siostry w Zduńskiej Woli.

Zanim jednak to nastąpiło, nawet w słonecznej Małopolsce zdarzały się momenty, w których demony z Warszawy nie chciały dać o sobie zapomnieć.

POKÓJ, DO KTÓREGO NIE WOLNO WCHODZIĆ

Ponieważ Kraków zalały fale uciekinierów z Warszawy, powołano specjalną Radę Główną Opiekuńczą (RGO). Miała ona odciążyć tych, którzy zapewnili przybyszom azyl pod swoim dachem. Mama Ani znalazła się z córkami u znajomych, państwa W. Nie były tam jednak jedyne. Na dom państwa W. zwała się wówczas cała gromada osób – kilka rodzin do wyżywienia i utrzymania, które ze stolicy nie wyniosły nic poza strasznymi wspomnieniami.

Dzięki Radzie Głównej Opiekuńczej mama nawiązała kontakt z pewną zamożną krakowianką, która zaproponowała, żebym przychodziła do jej domu, gdzie zostaną nakarmiona i ubrana. Tak też się stało. Nową podopieczną przyjęto bardzo ciepło. Właścicielka miała córkę w wieku Ani, która prędko stała się jej towarzyszką zabaw. Tej córki Pani Ania nie pamięta. Pamięta za to mieszkanie: wielkie i luksusowe.

I jeden pokój – zawsze zamknięty na amen.

Od razu powiedziano nam, że możemy się bawić w całym domu, z wyjątkiem właśnie tego pokoju. Dobrze więc, bez problemu. Trzymałyśmy się z daleka, wszystko było cudowne. Czas mijał. Nastął okres przedświąteczny i w każdym pokoju stała ubrana choinka. Wtedy właśnie, pewnego dnia, gdy byłam w tym domu, jak zwyczajnie od kilku tygodni, niespodziewanie otworzyły się drzwi tamtego pokoju, do którego zabroniono nam wchodzić.

Tego samego dnia powiedziałam mamie, że za żadne skarby do tego domu nie wrócę. Choćby nawet nie wiem, jak dobrze mnie tam traktowano, nie chcę się więcej tam znaleźć.

Wciąż pamiętam te otwarte drzwi. Tam też było przepięknie. Choinka biało-srebrna. Przepiękna choinka. A obok stał mężczyzna w czarnym mundurze. Widocznie szykował się do wyjścia, bo był już kompletnie ubrany, z tym charakterystycznym nakryciem głowy włącznie. Nie wiem, czy Pani, która mnie przygarnęła pod swój dach, była kochanką tego esesmana. Nie wykluczam tej sytuacji, prawda? W każdym razie tamtego dnia czekałam tylko, aż mama po mnie przyjdzie. I nigdy w życiu nie ubrałam biało-srebrnej choinki. Właśnie dlatego.

DANZIG. AKCJA!

Od wybuchu wojny minęły 82 lata. Ci, których dotknęła szczególnie mocno, do dziś mają przed oczami traumatyczne migawki z młodości – równie wyraźne, jak gdyby widzieli je wczoraj. Wielu starszych ludzi przyznaje, że coś z lęku, którego nie dało się racjonalnie opanować, jest nadal żywe.

Białoszewski jest bliski elementu właśnie takiego niepokoju, który każe się człowiekowi bez sensu przemieszczać z miejsca



Pani Ania z towarzyszami dziecięcych zabaw

Fot. archiwum prywatne



Pudełeczko z turkusowymi zdobieniami

Fot. Paulina Sokólska

na miejsce w nadziei, że gdzie indziej będzie bezpieczniej. Brat mojego męża, który był oficerem czołgista generała Maczka, opowiadał mi taką historię: „Słuchaj, jeżeli kiedykolwiek na wojnie zdarzała się taka sytuacja, że któryś z nas budził się w nocy i mówił: uciekajmy z tego miejsca, tu jest niebezpiecznie – to nikt nie pytał, dlaczego. Przemieszczałam się i bardzo często chwilę potem uderzała bomba albo coś złego się działo tak, jak gdyby istniała szansa na przecucie, ale nie dla wszystkich równocześnie”. Mówił, jak wiele razy to uratowało im życie. Wydawałoby się nielogiczne. Ale leki często wymykają się logice.

Pani Ania miała okazję przekonać się o tym na własnej skórze, gdy wiele lat po dramatycznych wydarzeniach jej dzieciństwa w Gdańsku nagrywano film wojenny. Na ulicy Piwnej wisiało pełno niemieckich flag, na sklepach przybito odpowiednie tablice. Wokół biegali polscy harcerze przebrani w mundurki Hitlerjugend.

Bardzo lubiłam jeździć latem do Gdańska. Nie przeszkadzało mi, że są niemieccy turyści, że mówią po niemiecku, to nie miało znaczenia.

I naraz wchodzę w tę ulicę. Spojrzałam i stwierdziłam, że albo się natychmiast wycofam – lekarstwa uspokajające mam zawsze w torebce, teraz też – zdążę wziąć, zdążą zadziałać, albo zabierze mnie pogotowie. Nie mogłam patrzeć na tę ulicę we flagach ze swastykami i na tych naszych chłopców przebranych za Hitlerjugend, których nasi harcmistrze, też przebrani odpowiednio, poganiiali, jakby to była banda tych niemieckich szczeniaków. Logika wiedziała, że tylko nagrywają film. Ale działało, jak działało.

Nie oglądam filmów wojennych. Dlaczego? Bo widzę, że jest aktor, do którego w filmie strzelają, a za pół roku mogą obejrzeć go żywego w świetnej kondycji, jak

gra komedię, cały w skowronkach. Natomiast wiem, że zwykle jeśli ktoś strzela, to strzela skutecznie. Z liceum ogólnokształcącego wyjechałam z wilczym biletem, bo odmówiłam użycia broni na zajęciach z przysposobienia obronnego. Moje dzieci nie dostały nigdy pistoletów, nawet takich na dyngusa, na wodę. Nie i koniec: pistoletów nie bierze się do ręki.

SPOD GRUZÓW

Zaraz po wojnie Irena zabrała się z jadącymi do stolicy Rosjanami, żeby obejrzeć zniszczenia. Później jej śladem poszli także rodzice dziewczynki. Zewsząd ciągnęły pielgrzymki do ruin. Ludzie wracali na zgliszcza w nadziei, że z ich dobytku zachowało się cokolwiek kosztownego, co pomogłoby przetrwać nadchodzącą biedę. Pomimo żmudnych poszukiwań rodzicom Pani Ani nie udało się odnaleźć skrytki z biżuterią. Musiała ulec zniszczeniu lub paść łupem złodziei.

Przy okazji natrafiono jednak na inny przedmiot. Pani Ania podaje nam niewielki drewniany pojemniczek z turkusowymi zdobieniami.

Tata miał taki zwyczaj, że jak za długo siedział w towarzystwie, to zawsze przynosił coś na przeprosiny mamie. No i kiedyś właśnie, gdy za długo balował, przyniósł jej takie pudełeczko na puszek i puder. Śliczny przedmiot, huculska produkcja ludowa. Ale mama była tak wściekła, że cisnęła tym pudełeczkiem o podłogę i tu się kawałek wykruszył. Ja byłam małą dziewczynką, bardzo mi się to pudełeczko podobało, więc włożyłam ukruszony kawałek do środka i zamknęłam wieko. Mamie się to wprawdzie nie podobało, ale dołączyłam pudełeczko do swoich zabawek i widocznie jak byliśmy w piwnicy w czasie powstania, musiałam

zabrać je ze sobą razem z ulubionymi przedmiotami.

Dziwnym trafem pudełeczko tam przetrwało. Jak po wojnie odgrzebywano jakieś nierozszabrowane resztki, to tata je znalazł i ono do mnie wróciło. Wkleiłam brakujący kawałek już jako dorosła. Dla mnie to prawie jak talizman, coś zupełnie magicznego.

Pomyślcie, pudełeczko ma niewiele więcej lat niż ja i też przetrwało niesłychaną zawieruchę. Uchowało się coś, co nie powinno. W żaden sposób nie powinno było przetrwać. Poza tym, że dom zbombardowany, że pożar, to różne inne czynniki, czyli powinno zostać unicestwione. A tymczasem jest. Jest i mam je w domu. Nie wiem, czy spodoba się mojej wnuczce, może pewnego dnia trafi na śmietnik historii. Ale może zachowa je, jeśli trafi do niej z odpowiednim opisem?

Pani Ania snuje domysły, a my wymieniamy znaczące spojrzenia, niepewni, czy ciągle jeszcze mowa tylko o małym drewnianym pudełeczku...

EPILOG. KOZICE

Są w generacji naszych dziadków i pradziadków biografie, w których ciężar całego życia przesilił się już w dzieciństwie. Nie każdy daje radę odnaleźć się w spokojnej rzeczywistości. Kiedy słucha się wywiadów z byłymi powstańcami, widać, że w pewien sposób dla części z nich wojna nigdy się nie skończyła.

Potrzeba dużo woli, żeby w zwykłym życiu tragiczne i złe doświadczenia zrównoważyć dobrymi. Trzeba też włożyć mnóstwo

energii i entuzjazmu, żeby podjąć konkretne działania, które pozwolą nie osiąść w miejscu. Niektórym się to udaje. Pani Ania jest na to żywym przykładem. Zdołała wykorzystać szansę, żeby dalszy czas, który dano jej jakby na kredyt, przeżyć możliwie najpełniej.

Nie zapytaliśmy o to, jaką radę przekazałaby naszemu pokoleniu. Jej powojenne losy same służą najlepiej za radę i za odpowiedź. Tak, bardzo lubię życie i umiem sobie w nim, mimo trudności, wyszukać różne atrakcyjne rzeczy, w których wciąż mogę uczestniczyć. Jestem na przykład głęboko przekonana, że filharmonia często gra koncert specjalnie dla mnie. To, że są tam jeszcze inni ludzie, to nieistotne.

Jeszcze do niedawna, gdy zdrowie mi pozwalało, podróżowałam z przyjaciółmi. Bo to są takie fajne pomysły, na przykład chcieć zobaczyć wystawę malarstwa i, powiedzmy, w tym celu pojechać do Włoch albo polecieć do Hiszpanii, bo w Madrycie występuje akurat znakomita polska śpiewaczka.

Zastanawiam się, czy dam radę wam przynieść i pokazać na przykład taki album z podróży po Ukrainie. Dużo wędrowałam, bo zawsze szukałam swojego miejsca na świecie.

Nazbierałam tyle różnych pięknych wspomnień, że nawet jeżeli ośmiela się dopaść mnie jakaś, nie daj Boże, choroba, to wiem, że mogę się utopić we wspomnieniach z takich czasów, kiedy o żadnych chorobach nie było mowy.

Jedno z takich wspomnień dotyczy czasów studenckich, kiedy paszport zdobywali nieliczni i nie

wolno było podróżować, ale mogło się pojechać w góry na Słowację. Pani Ania miała wstąpić do Warszawy, żeby coś załatwić w pewnej firmie, więc pojechała w eleganckim kostiumie, butach na koturnie i pięknej, białej bluzce. Plecak turystyczny zostawiła w przechowalni bagażu.

Jeszcze tego samego dnia w tym eleganckim kostiumie i z bagażem na plecach dotarła koleją do Zakopanego. Przeprowadziła się na słowacką stronę i wylądowała w schronisku, budząc zdumienie miejskim wyglądem. Następnego dnia kostium powędrował do plecaka, nastąpiła zmiana garderoby i mogła już ruszać na górski szlak. Była jednak tak zmęczona tempem tej podróży, że przed zamierzoną wędrowną poszła poleżeć w dolinie, żeby odpocząć.

No i, słuchajcie, po naszej stronie kozic prawie wtedy nie było. A tam, ułożyłam się, padłam w tej dolinie plackiem, bo ledwie się ruszałam. Leżałam od zawietrznej strony i te kozice mnie nie czuły. To był wrzesień, pora moich studenckich wakacji. Kolorystyka bajeczna, bo już się zaczynała jesienna przemiana. Cały dzień przeleżałam, patrząc na stado kozic, które pasły się w polu mojego widzenia. Słuchajcie, został mi z tego kolorowy slajd do końca życia w pamięci.

Mówiłam Wam wcześniej: po latach dowiedziałam się, że w Warszawie brakowało im amunicji tamtego dnia. I teraz myślę, że bardzo dobrze, bo bym nie popatrzyła na te pasące się kozice.

**Paulina Sokólska
Maksymilian Rzepka**

¹ Tekst powstał w ramach zajęć z przedmiotu sztuka reportażu, prowadzonych przez dr hab. Magdalenę Horodecką, prof. UG, na kierunku filologia polska (specjalność publicystyczno-dziennikarska), w Instytucie Filologii Polskiej UG. Jego część ukazała się 1 sierpnia 2022 roku (w 78 rocznicę wybuchu powstania warszawskiego) w „Dużym Formacie” „Gazety Wyborczej”.